

Renata Przymyk: - Dzika już nie jestem

Katarzyna Kownacka

Rozmowa z Renatą Przymyk, wokalistką i kompozytorką



(fot. Elżbieta Schonfeld)

- Strasznie mi pani dała po głowie swoją najnowszą płytą "Odjazd"...
- Ojej... A chociaż w pozytywnym sensie?

- W pozytywnym, bo dobra muzyka to podobno taka, która porusza. "Odjazd" z pewnością porusza. Śpiewa pani na przykład: "Niech mnie obudzi ktoś/ i zatrzyma czas/ przerwie sen wariata/ koszmar co wiecznie trwa". Albo "Jeśli odetniesz sumienie/ to w trupa zmienisz/ kogoś kto jeszcze mógł żyć".

- (śmiech) No tak... Nie brzmi to super optymistycznie... Ale życie przecież niesie nam mądrość, która nie zawsze jest budująca, nie od razu...

- Piosenki z tej płyty nie są na pewno lekkie, łatwe i przyjemne...

- Przyjemne choć trochę, mam nadzieję, są (śmiech)... Lekkie i łatwe na pewno nie. Ale też znów nie jest z nimi tak, że tylko się pociąć i do Wisły... (śmiech). A już całkiem poważnie - człowiek, który ma otwarte oczy, widzi, co się dzieje dookoła i wie, że to, o czym śpiewam, to rzeczy, które się zdarzają. Są częścią naszego życia.

- To, że sprzedajemy siebie i innych, żyjemy w klatkach zobowiązań i mamy pełno blizn na duszy?

- Tak. Ważne, byśmy byli tego świadomi i umieli dokonać słusznych wyborów.

- Czemu nie śpiewa pani o takim szczęściu, że on ją kocha, ona go też i wszystko jest wspaniałe?

- Hmm... Jak mam odpowiedzieć na to pytanie... Bo nie chcę zarobić?! (śmiech). Bo nie umiem. Nie jestem wesołkowatym typem. Nawet Terceci Egzotyczny tworzył piosenki o nieszczęściu – rozstaniach niejakiej Palomy w pewnym panem... (śmiech)

- "Odjazd" to album nietypowy. Dwupłytowy, a jeden z krążków – "Demo" - jest niemal zupełnie surowy. Zaśpiewany, nagrany i nagrany przez panią w domowym studiu. Skąd pomysł, by dać słuchaczowi dwie wersje tych samych piosenek, bo większość z nich się na płytach powtarza?

- Powodem był niedosyt, który pozostał po kilkumiesięcznej pracy nad tą klasyczną producencką płytą, zaaranżowaną, zrobioną w studiu "na bogato". Uległam sobie i wizji spełnienia swoich marzeń. Te piosenki powstały już ponad trzy lata temu. Napisałam je z Anką Saraniecką dla teatru, do spektaklu. Brzmiały pierwotnie mniej więcej właśnie tak, jak na płycie "Demo". Wymóg był bowiem taki, żeby się w nich przesadnie nie rozwijać aranżacyjnie. Tak, by mógł je zagrać zespół w składzie, który jest na etacie w teatrze. I tak powiększyłam instrumentarium na przykład o mój ukochany akordeon. Muzyka miała być taka, żeby nie zdominować aktorów ani całej sztuki, ale uzupełniać i podkreślać charakter i problemy postaci. Chyba się udało. A Anka Saraniecka, autorka tekstów, z którą współpracuję od 20 lat, napisała fantastyczne słowa, ujmujące te problemy w sposób dobitny, ale dość uniwersalny, żeby dać im długowieczność. Ma się wrażenie, że te problemy dotyczą nas wszystkich. Więc jak już spektakl zszedł z afisza i mogliśmy sobie zrobić te piosenki "pod płytę", to włączyła się moja wrodzona przekora. Pomyślałam, że skoro się do tej pory ograniczałam – choć wcale nie aż tak bardzo, bo w końcu zrobiłam tę muzykę po swojemu - to teraz to już zaszaleję! Zatrudniłam więc producenta, nawet dwóch. A że każdy z nich miał swoją wizję (no i ja swoją), to krew się w nas burzyła i z tej burzy pomysłów krystalizował się materiał bardzo różnorodny ...

- Trzaskaliście drzwiami w twórczym szale?

- Nie, aż tak nie było... Nie wyrzucaliśmy też instrumentów przez okno (śmiech)... Jesteśmy muzykami, ale mimo wszystko dorosłymi (śmiech). Dobrze, że była nas trójka. W trudnych sytuacjach zawsze było dwóch na jednego... Grunt, że kiedy skończyliśmy, stwierdziliśmy, że wyszło niezłe, ale ja miałam jakiś niedosyt. Puściłam materiał kilku znajomym, którzy znali poprzednie wersje piosenek i okazało się, że są tacy, którym bardziej podobają się niektóre piosenki w starych aranżacjach, a niektóre w nowych. No i wtedy pomyślałam: a czemu nie wydać dwóch wersji? W końcu nikt tak jeszcze nie zrobił. Tak zrobiłam i uspokoiłam się.

- Trudno byłoby nie czuć się zaspokojoną, skoro na krążku "Demo" nie tylko pani zaśpiewała i nagrała go sama w domowym studiu, ale też zagrała na instrumentach klawiszowych, gitarze akustycznej, basowej, cymbałkach, instrumentach klawiszowych, djembie, skrzypcach, a nawet małej tubie!

- Na tej tubie musiałam się najpierw nauczyć grać... Bardzo mi pasowała do aranżu, a skoro założenie było takie, że wszystko wykonuję

sama, to musiałam ją opanować... Kolega Lewicki, mój realizator, bardzo we mnie wierzył i pokazywał różne patenty (śmiej). Ale też nie można tego demonizować. Na żadnym z tych instrumentów nie gram dobrze. Najlepiej radzę sobie z bębenkami. Komputery jednak dają dziś takie możliwości, że można sobie tworzyć muzykę fragmentami, a potem montować. Po prostu przykroić materiał, jak się chce. Byłe się miało pomysły!

- Czyli nie będzie teraz tak, że na koncert przyjedzie pani z siedmioma instrumentami i będzie na nich grać...

- Już zdarza się, że gdy koncertuję z założonym niedawno zespołem Akustik Trio, to przywożę bagażnik pełen instrumentów, w większości perkusyjnych. Jest wśród nich gitara, na której bardzo ładnie umiem zagrać kilka akordów - byle nie za szybko (śmiej). Jest mały akordeonik, na którym tylko prawą ręką wykonuję proste melodyjki. Przestałam się bać instrumentów. Czasem kilka dźwięków może pięknie ubarwić piosenkę. Kiedy miałam 20 lat, zaczęłam się uczyć gry na skrzypcach. Po zrobieniu pierwszej klasy rzuciłam je z płaczem, bo stwierdziłam, że jeśli nie będę Mozartem lub Paganinim, to nie ma sensu się tego uczyć. To była straszna głupota. Ale taka wtedy byłam, czarno-biała. Jeszcze do niedawna nie tknęłabym instrumentu, którego nie miałabym opanowanego dobrze. Czyli żadnego (śmiej). Dziś uważam, że jeśli się ma pomysł, to czemu nie spróbować?

- Materiał na płytę "Odjazd" powstał, jak już pani wspomniała, kilka lat temu, do spektaklu o tym samym tytule dla Teatru Rozrywki w Chorzowie. To nie pierwsza pani muzyczna współpraca z teatrem. Jak to się zaczęło?

- Zaczęło się w 2002 roku od Teatru Bałtyckiego w Koszalinie. To była "Balladyna". Dano mi wtedy gwarancję całkowitej wolności artystycznej, mogłam to zrobić zupełnie po swojemu. To na tyle mi pochlebiło i pobudziło moją wyobraźnię, że nie zastanawiałam się długo. A jak się jeszcze dowiedziałam, że kostiumy do spektaklu robi Zofia de Inez, jedną z głównych ról gra Marta Klubowicz, a reżyseruje Jan Machulski, to zrobiło mi się ciepło i dostałam gęsiej skórki... To miał być mój debiut, bałam się. I czasu było bardzo mało. Za to miałam kredyt zaufania. Dyrektor teatru przyszedł na mój koncert, a po nim mnie zagadnął i zaproponował współpracę. Powiedział, że przyszedł się tylko co do mnie upewnić. Powiedział, że chce, żebym to ja tę muzykę pisała. To zaufanie oszołomiło mnie trochę, ale też dodało mi wiary, więc się ośmieliłam. I rozpędziłam! Całe honorarium poszło na studio, bo przecież musiałam to zrobić jak najlepiej... Ale przy następnych propozycjach teatralnych było łatwiej. Miałam już "Balladynę" na koncie. Łatwiej było mi również w kontekście mojej wiary w siebie. Wcześniej bałam się, że nie dam rady.

- Kiedy pani na dobre w siebie uwierzy? 20 lat na scenie, na koncie dziesięć płyt, z których jedna po drugiej są złote, znalazła się pani w setce najwybitniejszych artystów minionego stulecia tygodnika "Polityka"...

- No tak, to mi pochlebiło...

- A dodało wiary w siebie, której ciągle brakuje?

- Chyba mam już jej trochę. Za dorosła jestem i świadoma siebie. Nie jestem już tą dziką, zakompleksioną osobą sprzed 20 lat. Nauczyłam się siebie, rozpoznałam swoje możliwości i przestałam się bać podejmować nowych wyzwań. Ta ostatnia płyta, gra na tych wszystkich instrumentach, to dowód. Karmię się też wiarą innych we mnie. Czuję, że mam kredyt zaufania. To mi dodaje siły i odwagi.

- Jubileusz to czas podsumowań. Zrobiłaby pani coś zupełnie inaczej?

- Niewiele. Są chyba dwie piosenki, które zaśpiewałabym inaczej. Jedna z nich znajduje się na płycie "Andergrant". Wtedy byłam na etapie, kiedy moja niewiara w siebie paradoksalnie współistniała z jakąś brawurą. Miałam spore możliwości, nad którymi nie do końca panowałam. Wynikało to też z niewiedzy. Stwierdziłam przy jednej z tych piosenek, że zaśpiewam ją inną barwą, bo wtedy w końcu będzie mnie słychać, przebiję się przez gęsty aranż. No i, durna, zaśpiewałam brzydką, kozią barwą... Faktycznie, przebiłam się (śmiej). W dodatku byłam wtedy z siebie dumna, że potrafię śpiewać na wiele sposobów!

- A która to piosenka?

- Nie będę sobie robić takiej antyreklamy... Jak ktoś będzie uparty, to na pewno ją znajdzie. Mam dziś świadomość, że są różne sposoby na osiągnięcie zamierzonego celu (śmiej). Ale generalnie wiem, że te 20 lat nie poszło do kosza.

- A często zdarzało się w tym czasie, że producenci namawiali na bardziej komercyjne śpiewanie, takie, żeby się dobrze sprzedało?

- Ileż to razy! Firma fonograficzna, ludzie, którzy mogliby coś z tego mieć. Rodzina też wołałaby, żebym śpiewała jakoś ładniej... (śmiej). No, ale we mnie takie sytuacje rodziły bunt i przekorę. Uparta jestem. Nie zawsze dobrze na tym wychodzę, ale cóż... Poza tym sporo zależy od tego, w jaki sposób mi się powie, że coś trzeba zmienić. Jeśli usłyszę, że coś jest beznadziejne i trzeba to powtórzyć, to się zacinam i mówię: nic z tego!

- Są w pani dwie natury. Z jednej strony ta stojąca zawsze z boku, wyciszona, wstydliva, niewierząca we własne siły. Z drugiej – na scenie - drapieżna, czasem ostra...

- Z tą nieśmiałością to się przez lata jednak zmieniło... Teraz postawiłabym raczej na określenie skromna (śmiej).

- Co do skrajności – w dzieciństwie podobno ćwiczyła pani balet, a potem karate. Dość odległe dziedziny...

- Pozornie. Nigdy nie należałam do silnych fizycznie, ale byłam szybka. W karate też raczej liczyła się gibkość i zwinność. A ćwiczyłam, bo bardzo lubiłam czuć się sprawna fizycznie. To dobrze wpływało również na moją wiarę w siebie. Wydawało mi się, że dzięki temu jestem bardziej samodzielna na wielu polach. Poza tym czułam się bezpieczna. Niestety, musiałam przerwać uprawianie tego sportu ze względów zdrowotnych.

- Ale potrafiłaby się pani obronić na ulicy?

- Chyba głównie opryskliwym słowem i jakąś wiązką... (śmiej). Mogłabym jeszcze kogoś palnąć torebką, bo mam sporą...

- A propos dzieciństwa - rodzice podobno długo twierdzili, że muzyka jest niepoważnym zajęciem i nie powinna się pani nim zajmować.

- Prawda.

- A kiedy się przekonali, że można z tego żyć?

- Jak wybudowałam dom, czyli niedawno (śmiej). No, może trochę wcześniej. Ale na pewno dopiero wtedy, kiedy zauważyli, że może być z tego jakiś zysk. Po prostu bali się, że nie będę samodzielna, nie będę się w stanie utrzymać.

- "Wcale nie chcę, żeby ludzie wiedzieli wszystko o moim życiu. Zależy mi na wolności, intymności i prywatności". I tak ją pani dobrze chroni, że dopiero teraz dowiedziałam się, że adoptowała pani dziecko...

- Oczywiście, że chronię, bo to dla mnie ważne. Nie mówię wszystkiego, nie wdaję się w sensacje, ale też nie kłamię. Widzę jednak, że nie

czytała pani niedawno "Gali". Tam powiedziałam o córce i wylano mi za to wiadro pomyj na głowę... Nie wiedziałam, że ludzie o tym nie wiedzą... Fakt posiadania dziecka nie był nigdy żadną tajemnicą. Mam dziecko, od ponad siedmiu lat.

- A za co było to wiadro pomyj?

- Ano właśnie za ten cytat o chronieniu prywatności w kontekście opowieści o dziecku. Zarzucono mi, że skoro tak ją chronię, to czemu nagle gadam. Może chcę sprzedać płytę i takie insynuacje. Zrobiło mi się przykro. Mnie się wydawało, że wszyscy wiedzą o moim macierzyństwie. Wiele razy już o tym mówiłam. Nie wdawałam się nigdy w szczegóły. I nadal się nie wdaję. Mówiłam tylko, że mam dziecko i że jest adoptowane. Dlatego teraz, kiedy znów mnie o to zapytano, nie widziałam powodu, żeby kłamać albo to ukrywać.

- Mocno przeorganizowała sobie pani życie, gdy Klara się pojawiła?

- Oczywiście. Przez pierwszy rok prawie w ogóle nie koncertowałam. Przez kolejne dwa - niewiele - po to, żeby się nią zająć. I to nie było wcale żadne poświęcenie. To było marzenie mojego życia.

- Teraz już pani koncertuje.

- Teraz powinnam mieć magisterkę z logistyki (śmiech), jak większość matek... Posiadanie dziecka wiąże się z ogromnymi umiejętnościami w tej dziedzinie. Na przykład tuż po tym wywiadzie jadę po Klarę do szkoły, gdzie na mnie czeka w świetlicy szkolnej. Na szczęście ją lubi i ma się tam z kim bawić. Nie jest lekko, ale warto! Ani przez sekundę nie żałowałam, że Klara się pojawiła.

- No to wróćmy do plotek. Podobno miała być pani kiedyś żoną... Jana Marii Rokity.

- O matko... Na samo wspomnienie włos mi się jeży. Nie wiem, komu i skąd przyszło to do głowy. Jak można nas było skojarzyć?! To jest tak odległe, że aż niemożliwe. Chociaż i tak mogłam chyba gorzej trafić, to jeden z tych porządniejszych w tym bagnie. Często powtarzam, że brzydzą się polityką, a dokładniej metodami działania tych... panów, co to się chcą głównie dorwać do władzy i do żłobu. Jest tak niewielu polityków, których można obdarzyć szacunkiem...

- A od metki feministki, którą pani przyszyto, też jest równie daleko?

- Zupełnie nie. Jestem feministką i jeśli odczuwałam to jako łatkę, to tylko przez złe rozumienie definicji. Jestem feministką, bo uważam, że temat źle traktowanych kobiet ciągle trzeba poruszać. Ich sytuacja nie jest taka, jak być powinna. Nie ma sprawiedliwego traktowania w pracy, jest seksizm i wykorzystywanie pozycji. I ja, jak wielu innych ludzi, uważam, że to nie fair. Po prostu. Kierują mną tylko i wyłącznie względy humanitaryzmu. Jestem idealistką, wiem.

- A brała pani kiedyś udział w spotkaniu kobiet walczących o równe prawa? Niektóre z nich mówią takie rzeczy, że nawet kobietom nóż się w kieszeni otwiera...

- Mnie też się czasem otwierał i nie pod każdym sztandarem bym stanęła. Ale to, że są mądrzejsi i głębsi, dotyczy obu płci i różnych opcji. Kiedy się wypowiadają jakieś ekstremalnie myślące postaci, to nie znaczy, że cała akcja jest zła. Ja nie należę do "tych" walczących kobiet, co palą swoją bieliznę. Lubię swoją bieliznę... Ale walka o równe wynagrodzenia za tę samą pracę, dostęp do wykształcenia czy sprawy związane z macierzyństwem to bardzo ważne postulaty i nie zawsze we wszystkich środowiskach tak oczywiste i przestrzegane. Dlatego będę się pod tym podpisywać.

- Jeszcze jeden cytat: "Nie jestem zachwycona tym, co się dzieje na naszym rynku muzycznym, tym, że muzyka została przerobiona na produkt. (...) Został podpisany swoisty cyrograf Faustowski. Wszyscy powinni być piękni, superzdolni gotowi na każde ustępstwo, żeby się dobrze sprzedać". Pani na takie ustępstwa nigdy nie poszła. Od początku była ta świadomość: mogą tak? Nie było obawy, że jak postawię na swoim, to może mnie nie być?

- Jestem ideologicznym zacietrzewieńcem i jeśli chodzi o mnie samą, to nawet gdybym miała przymierać głodem, nie poszłabym na taki kompromis. Potrzebuję być w zgodzie ze sobą. Taka ekstrawagancja. No i mam parę innych zawodów, w których mogłabym na siebie zarobić (śmiech). Ale gdyby trzeba było na przykład poświęcić się dla rodziny, na operację dla bliskiej osoby czy coś równie ważnego, to bym to pewnie zrobiła. Mam wyraźną hierarchię wartości. Na szczęście nigdy nie było takiej sytuacji, i oby nie było. Muzyka zawsze była moją pasją i wiem, że mam ogromne szczęście, że robię to, co kocham i mam szansę się z tego utrzymać. Jest też świadomość, która towarzyszyła mi przez te dwadzieścia lat pracy, że na szacunek trzeba sobie zapracować. Również na szacunek do samego siebie.

Nowa Trybuna Opolska, 28 luty 2010 r.